

Małgorzata
GUTOWSKA-ADAMCZYK
Wystarczy, że jesteś



Nasza Księgarnia

**WYSTARCZY,
ŻE JESTEŚ**

**Małgorzata
Gutowska-Adamczyk**

**WYSTARCZY,
ŻE JESTEŚ**

Nasza Księgarnia

Jaśminie, Ewie, Maćkowi

oraz wszystkim, którzy cierpią z miłości lub jej braku

Tylko głupcy nie dziwią się sobie.

Piotr, SPP

Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Weronika nie przeczytała *Zmierzchu*?

Ale jak miała nie przeczytać, skoro wszystkie dziewczyny w klasie czytały, wszystkie się zachwycaly, wszystkie wzdychaly, a potem chodziły tygodniami jak zaczadziące z głowami w chmurach i naiwnym poczuciem, że są kochane za nic, tak po prostu kochane tylko za to, że istnieją. A im która była brzydsza, tym intensywniej to sobie wyobrażała.

Bo ładne – wiadomo – zawsze się wokół nich ktoś pałęta. One nie muszą sobie niczego wyobrazić, nawet pewnie nie mają na to czasu. Stoją przed lustrami i krzywią te swoje lekko zadarte noski, które tak kręcą facetów, oblizują wargi wydęte jakby od użądlenia pszczoły, mrużą błękitne oczęta, okrągłe w stałym zadziwieniu światem, robią słodkie minki, żeby je sobie utrwalić na zapas, wypinają cycki w staniku

70D. Śliczne idiotki, dla których faceci tracą rozum. Przez które nie zauważają tych, które tracą rozum dla nich.

One też przeczytały *Zmierzch*.

Po co?!

Właściwie to niesprawiedliwe. Powinny być jakieś reguły gry, powinna być jakaś elementarna sprawiedliwość. Powinno być po równo. Ale nie – jedne mają wszystko, inne nic. Jak z tym żyć? Jak unieść ciężar tej wiedzy, jak patrzeć na nie dzień po dniu, kiedy niefrasobliwie świergocą, plotą coś bez sensu, kiedy im się zawsze wszystko udaje, choćby na fizyce. Wystarczy, że zrobią tę swoją uroczą minkę.

– Ojej, to było coś zadane? Naprawdę? Ale, sorze, słowo honoru, nie wiedziałam, odrobnię na piątek, przysięgam!

A ten idiota to łyka, bo gapi się im w dekolt i nawet zapomni wpisać „NP”!

Po co więc im marzenia, skoro mają to wszystko bez walki? Są adorowane na każdym kroku. Facetom nie przyjdzie do głowy, żeby się z nimi przyjaźnić. Robią zapisy na dwa lata naprzód, stoją grzecznie w kolejce, żeby tylko pójść z taką do kina czy klubu.

Przyjeżdżają pod szkołę furami dzianych tatusiów albo nawet własnymi, udając kompletny luz, bo to przecież oczy-

wiste, że ma się samochód w tym wieku, a te głupie panny, chichocząc jak debilki, wsiadają i jadą gdzieś, nie wiadomo dokąd, reszta zaś, potulnie podrzucając plecaki na skrzywionych ramionach, wędruje na przystanek albo do metra, mając w planach tylko i wyłącznie rozrywkowe wyjście na spacer z psem, połączone ze sprzątaniem kupy.

Właśnie one, te dodopodobne, ciągną do siebie facetów niczym magnes cholerne opilki metalu, a wokół robi się pustka. Kompletna próżnia.

To jak nie czytać *Zmierzchu*?

Tylko potem trzeba bardzo uważać. Bo toniesz w nim jak w bagnie, chcesz więcej i więcej, wreszcie znasz go już niemal na pamięć, na twarzy zostaje ci ta dziwna błogość, stan nieważkości wchodzi w ciało, robisz się miękka, uśmiechasz się do siebie, rozmawiasz z nieobecnym. I wszyscy biorą cię za idiotkę, którą oczywiście jesteś. Bo co innego mieć wymyślonego przyjaciela w przedszkolu, a całkiem co innego hodować sobie wirtualnego chłopaka w liceum.

Ale dobry choćby i wirtualny, skoro żadnego innego nie widać na horyzoncie.

I poza nim też.

Weronika siedziała nad otwartym na dziesiątej stronie pierwszym tomem *Lalki* Prusa i nijak nie mogła zmusić się do lektury. Tępym wzrokiem wodziła po fasadach okolicznych bloków i myślała, że książka jest beznadziejna, ona sama jest beznadziejna i świat jest beznadziejny. Dopiero co skończyły się ferie, marzec ciągnął się w nieskończoność, wiosny nie było widać. W szkole wszyscy mówili tylko o przyszłorocznej maturze, narastająca atmosfera strachu udzieliła się już chyba nawet uczniom, choć do tej pory z uporem stali na stanowisku: „Co mnie to obchodzi, jeszcze tyle czasu!”.

Nieliczni, którzy zdołali się jakoś obronić przed psychozą, byli kandydatami do powtarzania trzeciej klasy. Ona w tych zawodach nie startowała. Była przerażona jak większość i starała się, choć to niełatwe, karnie wypełniać wszystkie żądania nauczycieli – wkuwać na blachę definicje, do znudzenia rozwiązywać testy z poprzednich lat i bać się więcej niż potrzeba.

Zresztą dość łatwo wpadała w popłoch, nikt jej nie musiał w tym specjalnie pomagać. Ale przecież straszenie to jedyne, co profesorowie mają opanowane do perfekcji. Snują swoje czarne scenariusze, jakby brali udział w jakimś hollywoodzkim konkursie na horror. Wymyślają miejsca, gdzie leniwy matu-

rzysta może trafić (kierowca w MPO i sprzątacze w metrze to najciekawsze perspektywy), a zyskują jedynie tyle, że w końcu człowiek przestaje ich słuchać.

Widać jednak Weronika nie była człowiekiem w wystarczającym stopniu. (Jej brat przypuszczał, że w ogóle nie jest, miał teorię, że podrzucili ją jacyś niedorozwinięci kosmici, bo była jeszcze bardziej niedorozwinięta niż oni).

Właściwie to chyba ona jedna naprawdę przejmowała się maturą, co znaczyło, że trochę próbowała się uczyć, ale znacznie więcej czasu zajmowało jej samo panikowanie.

Ponieważ panikować można, robiąc dosłownie wszystko: jadąc kolację, myjąc rano zęby, jadąc metrem, Weronika panikowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo nawet gdy spała, w nocy nawiedzały ją koszmary. Nagły skurcz w żołądku pojawiał się z pierwszym wspomnieniem o maturze i zanim rozplynął się wśród innych, nieco, choć niewiele przyjemniejszych myśli, traciła humor na długie godziny. Następną myślą było oczywiście: „Ale jestem beznadziejna!” (jej ulubiona sentencja), kolejną zaś: „Życie jest do dupy!”.

I tak ta trójca: „matura – ona sama – życie” spletały się w jej głowie jakieś trzysta razy dziennie, w tonie nieodmiennie minorowym.

W tym jednym Weronika była niekwestionowaną mistrzynią. Wszystko, o czymkolwiek pomyślała, napawało ją niechęcią. Nie było choćby jednej rzeczy, która rozpromieniłaby jej twarz w uśmiechu. No, może Pędzel, który siadając u jej stóp z jakimś butem w pysku, niezwykle kulturalnie, bez natrętnego szczekania, samą błagalną miną i cichutkim popiskiwaniami dawał bardzo dyskretnie do zrozumienia, że wyszedłby na spacer.

Pies miał tyle uroku, że zawsze potrafił sobie załatwić to, co chciał, podobnie jak brat Weroniki, Krzysiek. To też ją wkurzało. Byli w tym do siebie podobni: nie mieli obowiązków, jedynie przywileje. Ona zaś miała tylko obowiązki. Dlaczego nigdy nie potrafiła się postawić? Dlaczego, kiedy matka wracała z pracy, wszystko już dawno musiało być zrobione?

Raz tylko, kiedy po raz pierwszy Weronika czytała *Zmierzch*, tak w nim utonęła, że nie usłyszała szczekania Pędzla, nie zauważyła nawet, kiedy drzwi do jej pokoju się otworzyły i stanęła w nich matka, mierząc córkę zdziwionym wzrokiem.

Dopiero usłyszawszy: „A co ty tu tak...?”, Weronika oprzytomniała.

– Czytam... To lektura... – ledwie wysapała, z trudem wytrzymując karcące spojrzenie. – Na jutro.

– Na jutro? – matka zainteresowała się przelotnie. – I co? Zdążysz?

Pytanie było z rodzaju retorycznych, bo ocenami Weroniki nikt się nigdy nie martwił. Oczywiście sama była sobie winna: gdyby miała choć raz z czegokolwiek zagrożenie, na pewno rodzice bardzo by się przejęli. A tak? To ona ich nauczyła, że z tej strony nic im absolutnie nie grozi, więc sobie ją odpuścili.

Tego jednego nie potrafiła im wybaczyć. Z takim poświęceniem walczyła o każdą piątkę, że mogliby od czasu do czasu docenić jej starania. Ale chyba się już przyzwyczaili.

Była, jaka była.

Była dla nich powietrzem, meblem, o który człowiek się nawet nie potknie, idąc w nocy do łazienki.

Była, a jakby jej w ogóle nie było.

Czasami chciała się spóźnić kilka godzin albo zrobić coś jeszcze bardziej spektakularnego, ale co by to dało? Ktoś by to w ogóle zauważył? Może pies, niewyprowadzony w porę, nasikałby przy drzwiach jak wtedy, kiedy Krzysiek obiecał, że wróci wcześniej i wyjdzie z nim na spacer, ale – oczywiście – wypadło mu coś niezwykle pilnego i nie dotrzymał

słowa. A więc to jest bardzo niesprawiedliwe, że to ona, nie Krzysiek, wdepnęła potem w tę kałużę! I że to ona musiała sprzątać, a Krzysiek, spóźniony trzy godziny, tylko wzruszył ramionami:

– No i co się stało?

Nic.

Nic.

Nic się nie stało.

Właśnie to jest najgorsze.

Z Krzyśkiem nie ma o czym pogadać. Jest zakutym umysłem ścisłym, facetem w dodatku, studentem i gościem w domu. Młodszą siostrę olewa w sposób radykalny, zresztą jego troska o nią kończyła się zawsze na sprawiedliwym podziale batoników. To znaczy ona musiała mu oddać przynajmniej pół swojego. Taka to była sprawiedliwość.

Oczywiście dawno skończył się już etap batoników. Teraz naciąga ją na wiecznie nieoddawane pożyczki, zawsze obiecując, że przyprowdzi do domu jakiegoś superfaceta, w którym ona mogłaby się bezprzytomnie zakochać. Tak sobie żartuje, a ona nie wierzy, bo jego koledzy to sami popaprańcy. Siedzą parę godzin przed ekranem komputera, a potem wychodzą i nawet nie rzuca „Cześć!”. Istnieją dla

nich tylko gry i programy, których nazw Weronika nie stara się nawet zapamiętać.

Starszy brat! Chyba tylko ci, którzy go nie mają, potrafią się nabrać na tę instytucję. Starszy brat to podwójna samotność, bo niby jest, ale nigdy wtedy, gdy naprawdę go potrzeba. Zresztą kto zwierzałby się starszemu bratu? Chyba żeby się narazić na wyśmianie. Jeszcze nigdy nie było tak, żeby, kiedy z czymś do niego poszła, oderwał się od ekranu komputera. Jakby to stanowiło potworny wysiłek – wstać, objąć siostrę i powiedzieć:

– Nie martw się, mała! Wszystko będzie dobrze! Nie dam cię skrzywdzić!

Albo coś w tym rodzaju.

Czy to naprawdę aż takie trudne? Ale Krzysiek nigdy tego nie zrobił. Generalnie mogła dla niego nie istnieć.

Tyle w kwestii brata.

Właściwie była już prawie dorosła i powinna się wreszcie przyzwyczaić do tego, że życie jest okrutne, a najbliższa rodzina zawsze najbardziej daje człowiekowi w kość, ale jakoś nie mogła. Wciąż gdzieś głęboko tkwiła w niej mała dziewczynka, która marzyła, aby tata pogłaskał ją po główce i żeby ktoś ją wreszcie zrozumiał.

Jej koleżanki powoli zaczynały organizować osiemnastki i na swój czasem dziwny sposób manifestowały dojrzałość, jacyś faceci podjeżdżali po nie pod szkołę – pewnie nie po to, by odwożąc je do domu, wstąpić jeszcze na ciastka.

Ona zaś, młodsza od nich zaledwie o rok, wciąż mentalnie tkwiła w gimnazjum. Nie chodziła na imprezy do klubów, bo nie miała zgody rodziców, co gorsza, nawet Krzysiek przyznawał im rację.

Zresztą, czy tak bardzo chciała? Jeśli ktoś nie pije, nie pali, a na dodatek nie ma ani chłopaka, ani przyjaciółek, czego ma tam szukać? Siedzenie pod ścianą i gapienie się na tańczących jest średnio przyjemne. Niby można tańczyć solo, ale nie gdy ktoś jest nieśmiały.

Nieśmiałość.

Skąd się właściwie bierze?

Gdyby Weronika nie była tak podobna do ojca, pomyślałaby może, że rodzice ją adoptowali. Albo że naprawdę jest kosmitką. Ale nie, co do więzów rodzinnych nie było żadnych wątpliwości. To ruletka z genami, zakręcona nieudolnie, zatrzymała się w dniu jej urodzin przy:

uroda: marnie

przebojowość: poniżej normy

odwaga: do dupy
asertywność: zerowa.

Dlaczego więc jako bonus Weronika dostała:
pracowitość: ekstremum
poczucie obowiązku: najwyższe?

Chyba tylko po to, żeby w każdej sytuacji czuć wyrzuty sumienia i żeby wszyscy wszystko mogli na nią zwałać, wiedząc, że ona ma problem z odmawianiem.

Jakby tego było mało, cechował ją straszny, chroniczny, nieuleczalny romantyzm. Łatwo się wzruszała, każde ostrzejsze słowo mogło ją zranić. Miała naturę delikatną i samotniczą. Zawsze z trudem adaptowała się w nowym środowisku. Stała z boku, czekając, aż ktoś ją zauważy.

Jej światem były marzenia, również te na jawie. W świat marzeń, gdzie wszyscy są dobrzy, łagodni i czuli, uciekała przed chamstwem, cynizmem, głupotą.

A czasem przed samą sobą.

I nawet jeśli w tym, co o sobie myślała, przesadzała odrobinę – nikt bowiem nie jest ani tak zły, ani tak dobry, jak mu się wydaje – sytuacja była dość alarmująca.

To znaczy byłaby, jeśli ktoś by ją dostrzegł.

Ale nikt taki się nie pojawiał.

Weronika już się bowiem przyzwyczaiła do swej roli wiecznego popychadła w klasie i w domu. Nie miała wielkiej nadziei, że coś się szybko zmieni. Nie wiedziała nawet, co musiałoby się stać, aby ona znów w swym życiu poczuła się dobrze, czyli tak, jak się czuła mniej więcej do końca podstawówki, bo potem wszystko zaczęło się zmieniać.

W gimnazjum było już tak sobie.

W liceum...?

Szkoda gadać. Jeden koszmar.

Więc tak ma wyglądać młodość? Jeśli wierzyć dorosłym, najpiękniejszy okres w życiu? To jakie są te gorsze? Co musi się wtedy dziać, jeśli już teraz człowiek balansuje na granicy depresji albo może nawet ma jej kliniczne objawy, tylko o nich nie wie?

Niektórym swoim koleżankom, tym głępszym i ładniejszym, Weronika nieodmiennie zazdrościła łatwości, z jaką im przychodziło życie. One nie dzieliły włosa na czworo, nie zastanawiały się ciągle nad wszystkim, przyjmowały wydarzenia i reagowały bezwiednie, najwyżej skrzywiwszy wargi. Ją wszystko przyprawiało o strach.

A przecież nic takiego się nie działo. Skąd więc ta panika? Skąd poczucie, że jest sama, absolutnie sama, że mieszka

na pustyni i nigdy nie będzie szczęśliwa, bo do końca życia nie spotka już nikogo, kto będzie myślał tak jak ona? Kto ją zrozumie? Kto ją pokocha?

No właśnie.

Chyba doszliśmy do sedna?

Na szczęście jednak trafiła na *Zmierzb*.

Lektura tej książki, przynajmniej póki Weronika nie dotarła do ostatniej strony, dawała jej nadzieję, że nie wszystko jest stracone, że przecież i dla niej zaświeci słońce, a przystojny, wysoki, delikatny facet zaprosi ją kiedyś na romantyczny spacer po parku.

Może będą jedli lody?

Może on będzie chciał ją pocałować?

Może odda jej swoją kurtkę, bo nagle zrobi się zimno?

I wcale nie musi mieć żadnej fury ani mnóstwa kasy. Pewnie wtedy dopiero byłby zarozumiały i tępy. Musi tylko mieć ciepłe oczy (koniecznie brązowe!) i miły głos. W innych kwestiach Weronika zdawała się na przypadek.

Tylko gdzie znaleźć takiego kogoś?

I czy ktoś taki w ogóle istnieje?

Ktoś tylko dla niej? Ktoś, dla kogo właśnie ona byłaby ważna?

W to Weronika nie umiała jakoś uwierzyć. Zresztą nic dziwnego: codziennie doświadczała tylu sytuacji, w których wszyscy dookoła przekonywali, że jej zdanie się nie liczy, że powinna realizować ich pomysły na życie, aż wreszcie sama zrezygnowała z walki o cokolwiek.

W dodatku, im bardziej myślała o Edwardzie, tym bardziej beznadziejni wydawali jej się faceci z realu.

Czasami w pustym pokoju, nad klawiaturą komputera, wylewała swe żale w jakąś nieokreśloną przestrzeń. Tytułami piosenek lub fragmentami ich tekstów wyrażała swoje bezkresne cierpienie, licząc na to, że ktoś zrozumie i podzieli uczucia, z którymi zmagala się bezskutecznie, które ją przepełniały i czyniły apatyczną, bezsilną.

Bywało, że przeczytawszy jej wysyłany niczym list w bu-
telce tekst na komunikatorze, odezwał się ktoś znajomy. Jednak nie po to, by powiedzieć: „Ja też tak mam!”, bo zwykle po pytaniu: „Co tam?” następowało drugie: „Zrobiłaś już zadania z matmy?”.

I czar pryskał.

Dlaczego w takim razie czuła się nikomu niepotrzebna, skoro ciągle ktoś czegoś od niej chciał? Skąd brało się uczucie, że gdyby jej nagle zabrakło, nikt nawet by tego nie

zauważył? Ono właśnie zrodziło w niej złość i bunt. I dlatego wymyśliła pana Wirtualnego. Dość miała samotności, pustki i poczucia, że świat sprzysiągł się przeciw niej. Musiała o tym komuś powiedzieć.

Weronika i jej Wirtualny. Nazwijmy go W. Czyli W&W. Słodki zestaw, zupełnie jak ten wafelek.

Kiedy to się zaczęło? Jakiś rok temu? Kiedy tak strasznie boleśnie poczuła, że wygasa w niej cała ochota do życia. Była zima. Brzydka, ponura i zła. Pierwsza klasa liceum. W szkole sprawdzian za sprawdzianem, w domu stale jakieś kwasy i poczucie kompletnego bezsensu. Wtedy jeszcze nie miała swojej ulubionej książki, no, może te starsze powieści z *Jeźycjady*, ale i one szybko się kończyły, zostawiając ją samą sobie.

W przyływie rozpaczycy założyła wtedy bloga. Nazwała go „ja i mój W.”.

Tak sobie wymyśliła. Przy czym „W” nie oznaczało konkretnego imienia, było przymiotnikiem określającym pana Wirtualnego. „Wyśniony” i „Wymarzony” pasowały najbardziej.

Nie dawała żadnych namiarów na siebie i skrupulatnie zmieniała wszystkie szczegóły mogące naprowadzić kogoś

na trop, że to jej blog i jej facet. Zwłaszcza bała się kompromitacji w szkole lub jakiegoś niewybrednego żartu ze strony kolegów, którzy by jej potem dogryzali całymi miesiącami.

A wpaść było nadzwyczaj łatwo. Weronika wiedziała, że stąpa po cienkiej, chwiejącej się linie. Jednak tęsknota za kimś, kto dzieliłby jej samotność, zwyciężyła głos rozsądku. Więc pisała tam od czasu do czasu notki o tym, jak świetnie się bawi w towarzystwie pana W.

Wymyśliła go od stóp do głów.

Wymyśliła mu życie i charakter.

Pan W. był po prostu cudowny.

Mniej więcej rok później, w środę, czwartego marca, kwadrans po siódmej, Weronika jak zwykle jechała do szkoły. W metrze było ciasno, ludzie, stłoczeni niczym sardynki w puszcze, dyszeli sobie w twarz. Nienawidziła tego. Nagle w kieszeni kurtki poczuła wibrację telefonu. Wyjęła go, by odczytać wiadomość, i ruszyła do drzwi, bo pociąg akurat wjeżdżał na stację Politechnika. Nie dowiedziała się jednak, kto do niej napisał, bo gdy stawiała stopę na peronie, czyjaś dłoń wyrwała jej telefon, a chłopak w czarnej kurtce i kapturze na głowie popędził, wymijając pasażerów w tempie,

którego ona nie osiągnęłaby nawet po stu latach morderczych treningów. Nie pobięła więc za nim. Sama była sobie winna.

Cóż pozostało? Mogła się tylko rozpląkać.

Stała, jakby wrosła w ziemię, z amokiem w oczach rozglądając się po peronie, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

I – rzecz dziwna – podszedł do niej jakiś chłopak.

– Wszystko widziałem. Zgłosisz kradzież na policji?

– A powinnam? – zapytała naiwnie.

– Raczej tak. – Spojrzał na zegarek. – Ale musimy się pośpieszyć.

Ruszyli do wyjścia. On wyjął swoją komórkę.

– Chcesz zadzwonić i zastrzec numer?

Pokiwała głową.

– Nie pamiętam numeru infolinii.

– Spokojnie, damy radę.

Sprawa była prosta. Policjant, wzdychając ciężko, spisał ich zeznania, nie pozostawił jednak Weronice wielkiej nadziei na odzyskanie telefonu. Ona jej też nie miała. Pożegnała się już w myślach z komórką, choć czuła się z tego powodu dosyć nieswojo, bo czekała ją jeszcze przeprawa w domu.